

Jakby w biały dzień noc w okno

Adam Poprawa

ŁADNY TYTUŁ, PRAWDA? PRZYSZŁO MI KIEDYŚ DO GŁOWY, ŻEBY TAK właśnie nazwać następny tom prozy i w motcie lub, jeszcze lepiej, na końcu książki ujawnić źródło. A jest to linijka z wiersza Gałczyńskiego *Umarł Stalin*. Tak, chodziłoby o zaskoczenie, o odjecha-ny żart, ale przede wszystkim o niezwykłość sformułowania, po-większoną przez jego nową, samoistną sytuację. Co „jakby”, do czego odnosi się porównanie? Działa, bo nie wiemy, co jest porów-nywane. „Jak gdy kto ciśnie w oczy człowiekowi / Garścią fiołków i nic mu nie powie...” – w ten sposób rozpoczął Norwid olśniewa-jącą serię porównań, by urwać i nie dopowiedzieć, co miałyby być drugim elementem ciągu domniemanych zestawień.

Przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych minionego wieku, może pierwsze tygodnie stanu wojennego. W duszpaster-stwie akademickim Maciejówka gościł ks. Mirosław Drzewiecki (zwany Emirem; nie wiem, skąd się wziął ów przydomek), a przy- był z wykładem o Norwidzie. Odpowiadając potem na głosy stu- dentów, stwierdził, że jeśli ktoś Norwida nie rozumie, to zostaje mu Gałczyński. Dzisiaj za tak kategoryczną aksjologię zebrałby ciągi, nie wolno przecież ingerować w odczucia i emocje młodzieży. A wtedy spokojnie, rozległy się śmiechy. Nie żeby słuchacze mieli samodzielnie przenicowanego autora *Zaczarowanej drożki*: reak- cja była sytuacyjnie grzeczna, dowartościowywała też publiczność. I coś tam rzeknę, bo mi jest smętno. Ależ! Nie chodzi o Norwida, nie trzeba nic tłumaczyć, wyjaśniać musiałbym zresztą za pomocą ekstatycznych superlatywów. Idzie natomiast o to, że im później, tym bardziej żal sponstrowanego wtedy Gałczyńskiego i w ogó- le: reszta życia z katalogiem wyłącznie Bacha byłaby nie najgorszą perspektywą, szkoda by jednak było już nigdy nie usłyszeć na przy- kład grupy skiffowej No To Co.

Gałczyński wydaje się najbardziej absolutyjnym polskim poetą: nikomu tak wiele i na tak różne sposoby nie wybaczano. Owszem, często za pomocą pomijania lub puszczania w niepamięć. Wiel- biele i komentatorzy nieraz brali w nawias przed- i powojenne dokonania poety, które do jego chwalebnych stron bynajmniej nie należą. Zdarzały się nawet próby jeśli nie usprawiedliwiania, to wyjaśniania. Praktycznie od dekad nie ma takich tekstów jak wspaniały pamflet Jana Walca *Być świnią w maju* (1987). Różne dziwne rzeczy wypisuje się ostatnio o pierwszej połowie lat pięć- dziesiątych, może więc socrealistyczne poezje Gałczyńskiego do- czekają się jeszcze apologii? Dziwne przecież, że nikogo dzisiaj spe- cjalnie nie ekscytują jego okropne antysemickie wiersze sprzed wojny, dostępne w wyborze w szóstej zmienionej edycji beenki (2003) oraz w komplecie w *Wierszach zebranych* (2014), których dwa grube tomiska ukazały się u Prószyńskiego w ramach prze- rwanej niestety serii dzieł. No ale skoro w starannym skądinąd wy- daniu korespondencji Mrożka i Czapskiego (2023) jej edytor, Jan Strzałka, potrafi wyjaśnić w przypisie, iż wiersz Gałczyńskiego *Polska wybuchła w roku 1937* pozostaje „dotąd nieprzedrukowany w żadnym powojennym wyborze jego poezji”...

Właśnie Czapski w liście do Mrożka (1965) lapidarnie oddzielił poetykę i etykę Gałczyńskiego: „To był prawdziwy poeta i strasz- na kurwa, która miała pierwszorzędne antenę” (podkreślenie ory- ginalne). Inni pewnie skłonni byliby się zgodzić z taką dychoto- mią, chyba że snują narracje łagodzące. Na poważnie zaczął bodaj Miłosz, i to gdzie! W *Zniewolonym umyśle* (1953) pisał o Gammie, czyli Gałczyńskim, z podziwem i nieskrywaną fascynacją, z przy- jemnością powtarzając biograficzne anegdoty i zmyślenia. Po la- tach zaś w *Roku myśliwego* rozważał dwuznaczność Rawenny w *Poe- macie dla zdrajcy*: skoro tam właśnie umieścił Gałczyński Miłosza, w mieście, gdzie niegdyś przebywał wygnaniec Dante, to może ten osławiony wiersz nie jest tylko litanią inwektyw pod adresem no- wego emigranta?

W nekrologu z „Kultury” paryskiej (1–2/1954) Konstanty Je- leński wyznaje: „Kocham poezję Gałczyńskiego i w ciągu naszej krótkotrwałej przyjaźni byłem pod jego osobistym urokiem”. Po- równuje też poemat *Niobe* do Norwidowskiego *Fortepianu Szope- na* (o czym wielebny Emir chyba nie wiedział). Wśród innych po- chwał powiada również: „Nikt tak nie uchwycił nurtu polskiej rzeczywistości, nikt nie potrafił tak przemienić w gorzką i miłos- ną poezję szarej inteligenckiej rzeczywistości Skumbrii w Toma- cie, Skumbrii w Tomacie” (majuskuły oryginalne). Kot Kotowi oka nie wydrapie? Sprawa jest poważniejsza, również Stefan Ki- sielewski dotyka tej kwestii: „Ja mam jego cztery tomy zbioro- we – to jest historia polskiej inteligencji, ostatnie pięćdziesiąt lat” (1988). Ktoś musiał jeden tom pożyczyć i nie oddać, bo Kisiel miał na myśli pięciotomową edycję, najprawdopodobniej pierwszą z lat 1957–1960, w każdym razie obaj z Jeleńskim postrzegają Gał- czyńskiego jako świadka dziejów tej warstwy społecznej – a prze- cież nie trzeba świecy, by znaleźć w jego twórczości teksty antyin- teligenckie.

„Gałczyński był może największym poetą polskim po wojnie”. No pięknie, tylko zaraz w następnym zdaniu Jan Błoński wręcz ni- weluje ten sąd: „Dlatego, że nikt odeń nie był wrażliwszy na zamó- wienie czytelnika”. Cytuję z tomu *Poeci i inni* (1956), zawierającego trzecią wersję monografii; pierwszą ogłosił krytyk w „Pamiętniku Literackim” (4/1954), drugą w postaci osobnej (i swojej pierwszej) książki *Gałczyński 1945–1953*. Można porównywać i porównywać, lecz zostawiam to na inną, dłuższą okazję. Błoński pisał wtedy o twórcy miłośnie, tyle że systematycznie tłumaczył również etapy jego poetyckiej drogi do socjalizmu.

W 1950 kajał się poeta na łamach „Odrodzenia”: „wstydzę się tego, że razem z Broniewskim czy Wygodzkim nie łamałem się chlebem więziennym w Polsce faszystowskiej; wstydzę się te- go, że kręte dróżki sanacyjnej nocy doprowadziły mnie do ty- godnika pod nazwą »Prosto z mostu«”. Ojej. Ale dróżki, nie dro- gi, nie ścieżki tylko właśnie dróżki? W tym zdroabnieniu jest metoda, narusza ono jednorodność stylistycznego patosu i hi- perboli. ●